

A close-up photograph of a woman's face, her eyes closed, wrapped in clear, crinkled plastic. The plastic is covered in water droplets, creating a moody and ethereal atmosphere. The lighting is soft and directional, highlighting the contours of her face and the texture of the plastic.

Agnieszka  
Sudomir

Miasto Obiecane:

# PANA CEUM

LITERATE

AGNIESZKA SUDOMIR

# PANACEUM

LITERATE

*Now I'm out of prison  
And I got me a friend at last  
He don't drink or steal or cheat or lie  
Well, his name is Codine  
And he's the nicest thing I've seen  
And together we're gonna wait around and die  
Together we're gonna wait around and die*

The Be Good Tanyas, *Waiting Around to Die*

*Diabeł zawsze śmieje się ostatni.*

# I.

Jadę powoli. Przestrzegam przepisów. Dziś nic nie może mnie zatrzymać. Na termometrze czterdzieści stopni. Powietrze faluje z gorąca. Klima pracuje na pełnych obrotach. Buty trochę cisną – są nowe. Trudno, wielkie chwile wymagają uroczystej oprawy.

Mijam Stajnię Jednorozców. Jej dach mieni się tęczo. Lubię, kiedy barwnymi refleksami odrealnia ludzi i miasto. W mojej bajce nie ma zbyt wielu kolorów.

Mysleliście kiedyś o tym, jak to jest kogoś zabić?

Ręce miała szeroko rozrzucone, włosy spięte w wysoki, niedbały kok, a na sobie – wzorzystą letnią sukienkę. Jej stopy były bosc. Obok leżały, porzucone w nieładzie, wściekle różowe japonki ozdobione absurdalnie wielkimi sztucznymi orchideami. Błada, niemal biała twarz odcinała się od purpurowego dywanu. Gdyby nie ta twarz, można było pomyśleć, że śpi.

– Denatka: Natalia Marzec, lat dwadzieścia siedem. Brak widocznych ciał obcych w naturalnych otworach ciała. Brak widocznych uszkodzeń ciała. Powieki oraz

usta opuchnięte, obrzęk w okolicy twarzy i szyi, wysypka na policzkach, czerwone plamy pokrzywkowe na klatce piersiowej oraz na przedramionach, zaawansowane stężenie pośmiertne. – Lekarz monotonnym głosem nagrywał na dyktafon obserwacje ze wstępnych oględzin zwłok.

Z kuchni dobiegało nieludzkie wycie matki ofiary.

– Zabierzcie ją stąd. Może do jakichś sąsiadów – wydał dyspozycje Blattner. – Ktoś jej pomoże czy będziecie tak stać i się gapić?

– Psycholog już jest – zameldowała policjantka i posłusznie ruszyła w kierunku szlochającej kobiety.

– Ciepłota ciała zewnętrzna dwadzieścia dwa stopnie, temperatura powietrza dwadzieścia cztery stopnie, pomieszczenie klimatyzowane, plamy opadowe ustalone, co wskazuje, że denatka nie żyje od co najmniej dwunastu godzin. Nie widać oznak procesów rozkładu. Prawdopodobnie śmierć nastąpiła od dwunastu do dwudziestu godzin temu. W celu określenia dokładnego czasu zgonu konieczna jest sekcja – kontynuował lekarz.

– Czyli gdzieś między szesnastą a dwudziestą czwartą. Prawdopodobna przyczyna śmierci? – Komisarz odsunął się od ciała i rozpiął kombinezon ochronny. Mimo klimatyzacji laminowany polipropylen działał jak parowa łaźnia.

– Brak zasinień, wylewów, żadnych widocznych uszkodzeń ciała. Małe zadrapanie na prawej ręce. Nie wygląda na świeże. Obrzęk i pokrzywka wskazują na

wstrząs anafilaktyczny, ale teraz nie mogę tego na sto procent stwierdzić. Może być inna przyczyna fizjologiczna albo zatrucie. Trzeba zrobić badania toksykologiczne. Jak nic nie wykażą, to histopatologię. Zajmą się tym już w zakładzie. – Doktor uważnie oglądał odsłonięte części skóry.

– Może na coś chorowała?

– Możliwe. Mogła nawet nie wiedzieć. Teraz spotyka się takie dziwne zgony. Młody, zdrowy człowiek i nagle trach! Umiera. A potem okazuje się, że zawał. Wszystko przez te dopalacze, sterydy, środki na katar, inne świństwa. Pokolenie chowane na pasionych hormonami i antybiotykami kurczakach, zupkach w proszku, fast foodach, w szkole jadące na tablicy Mendelejewa. Nic dziwnego, że organizmy im nawalają.

*Cóż, widocznie jestem z lepszego rocznika* – pomyślał Blattner. Sam przecież odżywiał się podobnie, a jakoś, odpukać, zdrowie mu nie szwankowało.

– No dobrze, wygląda na to, że nic więcej teraz nie wymyślimy. Mogę wpuścić chłopaków? – zapytał.

– Jeszcze chwilę. – Lekarz zbliżył wzrok do prawego uda ofiary. – Poczekaj, coś tu mam... ślad po wkłuciu.

– Ćpunka?

– Nie. Tylko jeden ślad. Zastrzyk domięśniowy.

– To lekarka, mogła sobie coś wstrzyknąć.

– Możliwe. Trzeba ją jeszcze dokładnie obejrzeć. Może jednak ćpała. I kłuła się gdzie indziej. Narkomani mają swoje sposoby. Możliwe też, że przyjęła

jakiś lek, stąd wstrząs. Czasem się zdarza, na przykład po szczepionkach.

– Czyli tak... – Blattner postanowił podsumować dotychczasowe ustalenia. – Stawiasz na reakcję alergiczną albo zatrucie?

– Tak bym celował, ale potrzeba dokładniejszego badania – odparł doktor i podniósł się z kolan. – Dobra, możecie robić swoje, a ja trochę sobie popiszę.

– Udział osób trzecich? – zapytał Radziejewski.

– Na ten moment nie można wykluczyć, chociaż mało prawdopodobne. Wygląda raczej na wypadek – odparł. – Czuć tu alkoholem. Może się upiła i pomyliła ampułki?

– To co, panowie? Pozostaje czekać na wyniki autopsji. – Prokurator zamknął czarny notes.

– Dokładnie – potwierdził komisarz. – Luka! – przywołał robiącego przegląd pomieszczeń partnera. – Niech chłopaki pozbierają co się da, dobra? Zabezpieczcie resztę. A ja spróbuję pogadać z matką. Chociaż dziś pewnie nie dowiemy się wiele.

– W porządku. Jedziemy z robotą. Jak dam chłopakom zajęcie, przyjdę do ciebie. Matka jest u sąsiadów, pod trzydziestym czwartym, Zatorska z nią siedzi. – Woźniak przywołał gestem czekającego w progu technika.

Blattner rozejrzył się po mieszkaniu. Wnętrze obfitowało w typowo dziewczęce detale, jakby zamieszkiwała je nastolatka, a nie dorosła kobieta. Pośród białych fikuśnych mebelków rodem z domku dla lalek



umieszczono mnóstwo bibelotów: wazoników, figurek, szklanych kolorowych kul. Półki zajmowała kolekcja książek – głównie literatury medycznej, romansów i polecanych przez kolorowe pisma hitów, poprzetykana zdjęciami oraz niemożliwie słodkimi pluszakami. Okna modnie udekorowano szalami z bladofioletowego szyfonu. Na obszernym balkonie, wyposażonym w zestaw ogrodowy z rattanu i beżową przeciwsłoneczną markizę, wisiały dwa wietrzne dzwonki, teraz martwe w nieruchomym powietrzu. Ściana naprzeciwko telewizora została ozdobiona reprodukcją *Pocałunku* Klimta, a także trzema indiańskimi łapaczami snów. Kuchnia miała osobne wejście. Stanowiła szczyt nowoczesności; aż kłuła w oczy czystą bielą i lśniąco, chromowanymi detalami. Blattner zauważył, że nie była chyba zbyt często używana. Łazienka za to tonęła w romantycznych odcieniach écru oraz pudrowego różu. Całkiem spora kawalerka została urządzona dość kosztownie. Widać tu było gust właścicielki, ale też rękę profesjonalisty, który najwyraźniej próbował bez szwanku dla dobrego smaku sprostać lukrowanym zamiłowaniom gospodyni. Blattnerowi przemknęło przez myśl, że w tej bajce trup pochodził z zupełnie innej opowieści. Stanowił wręcz coś w rodzaju nietaktu. Tak głębokiego, że chciałoby się odwrócić oczy i ulotnić po angielsku, uznając zimne ciało za niezbyt eleganckie przywidzenie.

Zerknął ponownie na półki. Jedną z nich wypełniono poradnikami - zgodnym chórem doradzały, jak

być idealną mamą, żoną i panią domu. Dziewczyna, uśmiechająca się do komisarza z umieszczonego na ich tle zdjęcia, wyglądała jak milion dolarów. Niegłupia, atrakcyjna babka, przed którą kariera stała otworem, właścicielka nieużywanej kosmicznej kuchni, w wolnych chwilach szkoliła się na idealną *housewife*? Za jego młodych lat raczej się takie miksy nie zdarzały. Było albo-albo. Widać denatka wyznawała ideę bardzo umiarkowanego feminizmu. Chyba że stanowiła typ perfekcjonistki, która musi odnosić sukcesy na każdym polu: od prowadzenia samochodu, poprzez naprawianie kranu, jazdę na nartach, karierę zawodową, aż po bycie mamą. Tak, podobne kobiety i dawniej spotykał. Tylko pod powierzchnią idylli najczęściej pływało niezłe szambo. Mistrzynię pozorów, kto ich nie zna? Ciekawe, co znajdzie tutaj, kiedy zdrapie ten cały lukier? Miał niejasne przeczucie, że nie będzie to kolejny pluszowy miś.

Po raz ostatni obrzucił wzrokiem pomieszczenie i skierował się do wyjścia. Na czystej, przestronnej klatce buchnęło mu prosto w twarz gorące powietrze. Takich upałów nie było w mieście od dawna. Odnosił wrażenie, że budynki, ulice, samochody, wszystko dosłownie aż skwierczy w palących promieniach słońca. Dobrze, że w mieszkaniu działała klimatyzacja. Bez niej, po tylu godzinach, mogliby zastać mocno nieciekawy widok. Zrzucił kombinezon i zwrócił się do jednego z zabezpieczających wejście policjantów:

– Ktoś tu jeszcze mieszka?

– Nikt, panie komisarzu – usłużnie odpowiedział chłopak. – Denatka zamieszkiwała samotnie. Matka przyszła ją odwiedzić celem dostarczenia obiadu, miała swoje klucze. Weszła do pomieszczenia dziennie-sypialnego i zobaczyła denatkę, która leżąc, nie dawała oznak życia, co by wskazywało na utratę przytomności albo zejście śmiertelne. Zadzwoiła po służby ratownicze...

– Znaczy po pogotowie? – wtrącił.

– Tak, po pogotowie – młody energicznie przytaknął. – No a oni do nas.

*Kto ich uczy tak mówić?* – zastanowił się Blattner. *Zejście śmiertelne? Celem dostarczenia obiadu? Panie, widzisz i nie grzmisz?* Nie był purystą językowym, ale bełkot rodem z policyjnych raportów zawsze przyprawiał go o ból głowy.

Niewiele wiedzieli. Ze standardowego wezwania mogła się zrobić grubsza sprawa. Jeśli to wypadek albo samobójstwo, nic tu po nich. Istniało jednak prawdopodobieństwo, że ktoś dziewczynę załatwił. Musieli zabezpieczyć pomieszczenie tak, jak gdyby było miejscem zbrodni, żeby nikt nie zatarł ewentualnych śladów. Spokojnie mógł zostawić temat Łukaszowi, który wskutek wrodzonej pedanterii radził sobie z tym o niebo lepiej niż on sam.

Staął przed drzwiami oznaczonymi złoconym numerem trzydzieści cztery. Wiedział, co go teraz czeka. Nie był mocny w rozmowach z ludźmi w stanie szoku. Nie chciał naciskać na zrozpaczoną kobietę, liczył

jednak, że wyciągnie z niej choć kilka podstawowych informacji, które pozwolą im w razie potrzeby szybko ruszyć ze śledztwem. Miał nadzieję, że Dorota go wesprze. Jej umiejętności nie raz, nie dwa ułatwiły mu zadanie. Westchnął ciężko, wytarł spoconą twarz w jednorazową chusteczkę i zapukał.

W niewielkim, przytulnie urządzonej i zadziwiająco chłodnym salonie siedziały cztery osoby: dwie młode dziewczyny, matka zmarłej oraz Dorota Zatorska, policyjna psycholog. Ta ostatnia próbowała pocieszyć kobietę, która już nie płakała, tylko wpatrywała się przed siebie tępym wzrokiem. W tle słychać było monotony szum klimatyzacji. Zatorska wstała z kanapy i szepnęła mu do ucha:

– Dostała silne leki. Chyba nic z tego nie będzie. Daj jej dziś spokój.

Skinął głową na znak, że rozumie, jak delikatna jest sytuacja.

– Mogę w ogóle o coś zapytać? – upewnił się. Ostatnie, czego chciał, to wywołanie nowego dramatu.

– Spróbuj, ale bardzo ostrożnie, proszę cię.

– Jasne – przytaknął i zajął miejsce naprzeciw załamanej matki. – Komisarz Igor Blattner, Wydział Dochodzeniowo-Śledczy Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi. Chciałbym zadać pani parę pytań.

Kobieta nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na Blattnera nieprzytomnie.

– Czy pamięta pani, kiedy ostatni raz rozmawiała z córką? – zaczął i sekundę później pożałował. Twarz

matki ofiary wykrzywił grymas bólu. Gdyby nie leki uspokajające, z pewnością zakończyłoby się kolejnym wybuchem rozpacz. A tak – skuliła się przez chwilę, jakby dostała cios prosto w żołądek, po czym, już wyprostowana, ponownie skierowała pusty wzrok przed siebie.

– Dobrze, nie będę teraz pani męczył... – zawahał się. Nie był pewny, czy nie powinien złożyć kondolencji. Ostatecznie jednak zrezygnował. Pokrywając chrząknięciem własną niezręczność, podniósł się z fotela. Gubił się w takich chwilach. Nie potrafił wyrazić własnych uczuć, nie umiał udźwignąć cudzych. Młode dziewczyny, sąsiadki Natalii, zajęły się starszą kobietą, gładząc ją po plecach i podtykając pod nos szklankę z wodą. Blattner z ulgą ustąpił im pola.

Skinął na Dorotę i oboje wyszli na klatkę. Głęboko odetchnął. Twarz Zatorskiej wyrażała dezaprobatę, a przynajmniej tak mu się wydawało.

– Wiem. Nie jestem w tym dobry – postanowił uprzedzić jej wyrzuty.

– Nikt nie jest – odpowiedziała.

Dopiero teraz, kiedy została z nim sama, dostrzegł, jak wiele ją kosztowała dzisiejsza akcja. Śmiertelnie poważna mina Zatorskiej wcale nie była związana z jego zachowaniem. Po prostu w ciągu ostatnich minut musiała unieść więcej niż ktokolwiek z nich. Popatrzył na nią z mieszaniną podziwu i wdzięczności, ale znów nie umiał znaleźć odpowiednich słów.

– Zmęczona jesteś? – zapytał idiotycznie. Oczywiście, że była. Ona chyba najbardziej.

– Trochę... – uśmiechnęła się blado, związując ciemnokasztanowe włosy w koński ogon. – Ten upał mnie wykańcza.

Pokiwał głową ze zrozumieniem, ale wiedział, że wcale nie o upał chodzi. Przynajmniej – nie tylko.

– Co powiedziała? – przerwał krępującą ciszę.

– Niewiele. Przyszła około dziesiątej do córki. Chciała jej podrzucić obiad. Natalia powinna być wtedy w pracy, więc matka weszła, otwierając swoim kluczem. I zastała to, co widziałeś. Z początku myślała, że córka zemdlała, ale kiedy dotknęła jej ręki, zauważyła, że ta jest zimna. Wtedy się przestraszyła. Zadzwoiła po pogotowie. Próbowala swoje dziecko reanimować. Bezskutecznie. Ratownicy nie mieli już nic do roboty. Osoba młoda, nieznana przyczyna śmierci, więc zadzwonili po was – relacjonowała Dorota bezbarwnym tonem. – Podobno nie mogli matki odciągnąć od ciała – dodała po chwili.

Nie miał pojęcia, jak to skomentować. W tym momencie na szczycie schodów ujrzeli Łukasza. Komisarz znów podziękował losowi.

– A co z ojcem? – zapytał Woźniak.

– Wyjechał w interesach. – Głos Zatorskiej brzmiał już lepiej.

*Jak ona to robi, że tak szybko potrafi się ogarnąć?* – zastanowił się Blattner. Wiedział, że bez tej umiejętności nie dałaby rady pracować tu, gdzie pracuje, ale niezmiennie go to zaskakiwało. Dorota była twarda. Twardsza niż oni wszyscy.

– Ktoś go powiadomił, tak? – upewnił się.

– Tak. Zaraz tu dotrze – odparła.

W tej samej chwili usłyszeli trzask otwieranych drzwi, a potem czyjeś szybkie kroki. Na schodach pojawił się siwy mężczyzna w lnianych spodniach i jasnej koszuli z krótkim rękawem. Mimo wyraźnej nadwagi dwa piętra pokonał biegiem. Zaczerwieniona z wysiłku twarz, sinawy nos i krótki oddech palacza niezbicie świadczyły, że nie należy do tych, którzy o siebie dbają. Blattner miał wrażenie, że facet jest na granicy zawału.

– Gdzie moja córka?! – wykrzyknął na ich widok.

– Co tu się... – Głos uwiązł mu w gardle. – Boże... moje dziecko. Co oni jej zrobili?

– Pan Roman Marzec? – Łukasz potwierdził tożsamość mężczyzny.

– Tak... Gdzie... Przepuście mnie! Chcę ją zobaczyć! – Oczy ojca Natalii były zaczerwienione od łez.

– Oczywiście, proszę za mną. – Zatorska delikatnie chwyciła Marca za łokieć, ale ten natychmiast się wyrwał i roztrzącając ich, ruszył na górę.

Po chwili rozległ się krzyk policjantki:

– Proszę się odsunąć od ciała! Proszę pana! Bardzo proszę.

Nastała cisza.

Kiedy weszli do mieszkania denatki, Roman Marzec siedział na krześle przy maleńkim stoliku. Twarz ukrył w dłoniach. Tylko nieznaczne drżenie pleców świadczyło o tym, że szlocha.

– Panie Marzec... – Dorota nachyliła się nad mężczyzną. – Bardzo mi przykro. Ogromnie panu współczuję. Może podam panu lek na uspokojenie? To powinno pomóc.

– Pomóc? – Ojciec Natalii spojrzał na nią nierozumiejącym, pełnym bólu wzrokiem. W jego oczach czaiło się coś jeszcze, jakieś szaleństwo, które Blattnera przyprawiło o dreszcz grozy.

– Przyniesie ulgę.

– Nie trzeba – powiedział twardo. Ból zniknął, teraz spojrzenie wyrażało jedynie czystą nienawiść. – Znajdźcie ich – dodał po chwili. – Ktokolwiek to zrobił, niech za to zapłaci. – Ton jego głosu był lodowaty.

– Podejrzewa pan, że ktoś mógł się przyczynić do śmierci córki? – podchwycił Łukasz.

– Po co miałyby się zabijać? Była piękna, zdolna, miała wszystko. Po co miałyby się sama zabić? – Pokryte starczymi plamami dłonie zacisnęły się w pięści tak mocno, że aż zbieleły.

– Proszę pana... to wygląda raczej na wypadek. Lekarz mówi o wstrząsie anafilaktycznym. Czy córka była na coś uczulona?

– Na prokainę. Ale to bez sensu. Nigdy by tego nie wzięła. Jest lekarką... była... – przerwał na chwilę, starając się opanować emocje. – Wiedziała, czym to grozi.

– Rozumiem – przytaknął Łukasz. – Czy miała jakichś wrogów?

– Ona? Nie. To dobre dziecko, miła dziewczyna.



– Czemu zatem pan sądzi, że ktoś chciał ją skrzywdzić?  
– Boże... Boże... Moja córeczka... – Marzec spuścił głowę, a z jego gardła wydobył się dziki, niemal zwierzęcy skowyt.

Kiedy Dorota go wyprowadziła, komisarz podszedł do pracującej w skupieniu ekipy.

– Co to jest ta prokaina? – zwrócił się do bieglego.

– Lek stosowany miejscowo, głównie do małych zabiegów chirurgicznych jako środek znieczulający. Najpopularniejszy preparat na naszym rynku to Novokaina – odparł lekarz, podnosząc głowę znad papierów. – Uchodzi za bezpieczny, ale istnieje możliwość uczulenia. To by tutaj nawet pasowało. Jedno mnie tylko dziwi, musiałyby go sobie wstrzyknąć. Po co, skoro była uczulona? Przecież to bez sensu.

– Racja – westchnął Blattner. – Niezbyt prawdopodobne. Znaleźliście jakieś puste opakowanie po lekach? – rzucił w kierunku policjantów.

– Nie, panie komisarzu, nie stwierdzono obecności pustego opakowania. W szufladzie znajdują się dwie strzykawki, ale pełne. Anapen.

– Anapen?

– Adrenalina. Lek ratujący życie w przypadku wstrząsu anafilaktycznego – wyjaśnił doktor.

– Może próbowała sobie to wstrzyknąć? – Łukasz poszedł do szuflady i ostrożnie zaczął przeglądać jej zawartość.

– Cokolwiek wzięła, gdzieś tu powinna leżeć pusta strzykawka. – Komisarz miał coraz gorsze przeczucia.

– Chłopcy, przeszukajcie jeszcze dokładnie śmieci, inne miejsca. Może łazienkę? Przecież opakowanie nie wyparowało.

– Chyba że wstrzyknęła sobie coś wcześniej? Zanim wróciła do domu? – zaryzykował tezę Woźniak.

– To możliwe. Ja tu nie ocenię, kiedy zrobiono wkłucie. Może ci z sądówki coś wypatrzą. – Lekarz wstał i zaczął zbierać się do wyjścia.

Komisarz wyrzwał przez okno. Na zewnątrz Marzec, zgarbiony, złamany nieszczęściem, ciężko wsparty ręką o bok samochodu, tłumaczył coś drobnemu mężczyźnie, na oko czterdziestoletniemu, ubranemu w białą koszulę i czarne spodnie. *Pewnie kierowca* – domyślił się Blattner. Po krótkiej wymianie zdań młodszy posłusznie skinął głową, po czym wsiadł do auta i odjechał. Ojciec Natalii wrócił do budynku. Usłyszeli jego ciężkie kroki na schodach i dzwonek mieszkania piętro niżej. Poszedł do żony. I dobrze. Dziś i tak nic by z niego nie wyciągnęli, a tylko by przeszkadzał.

– Martwi mnie zabezpieczenie ewentualnych śladów – westchnął Łukasz. – Trochę ludzi bez ubrań ochronnych się tu kręciło.

– Luka, jest co jest. Nic nie poradzisz. Jak utrzymać matkę, ojca, ludzi z pogotowia z daleka od trupa? Ważne, żeby więcej nie brudzić.

– No wiem... ale jeśli to morderstwo, nie pójdzie nam lekko ze zbieraniem materiału.

– Łukasz, ja cię proszę, wypłuj te słowa. Dopiero co skończyliśmy z Aptekarzem. Znów miła młoda,

zdolna dziewczyna, którą ktoś zamordował? Źle mi się kojarzy. Nie chcę kolejnego pojeba w tym mieście.

– Ani ja.

Obydwaj mieli świeżo w pamięci tragiczne wydarzenia ostatniej wiosny. Studentka, dentysta, nastolatek, przedszkolanka i wreszcie tancerka o drobnych stopach – wszyscy oni wciąż im się śnili.

# 2.

Jak opowiedzieć to od początku? Gdzie w ogóle jest początek? Czy jest nim ten deszczowy dzień, w którym zobaczyli Lucyfera po raz pierwszy? A może los miał już swój chytry plan dużo, dużo wcześniej? Więc? Kiedy ruszyła lawina, która mnie zaraz porwie?

I z czyjej winy?

Od progu powitał go obrzydliwy zaduch. Blattner pootwierał wszystkie okna na oścież, włączył rozklekotany wentylator, ale niewiele to dało. Gęste od upału powietrze przypominało saunę. Co się musi dziać w blokach z wielkiej płyty, skoro nawet w jego, zazwyczaj przyjemnie chłodnej, kamienicy panował podobny ukrop? Zrzucił ubranie i poczuł ostry zapach potu.

Pod zimnym strumieniem wreszcie odżył. Wyszedł z łazienki w samych tylko bokserkach i skierował się prosto do lodówki. Pierwszy łąpczywy łyk lodowatej wody spowodował silne tąpnięcie pod czaszką. Odstawił wilgotną butelkę na blat, po czym zabrał się do

krojenia melona. Nie licząc skandalicznie niezdrowego śniadania i dwóch batonów energetycznych, nie jadł przez cały dzień, mimo to nie miał ochoty na nic więcej. Rano profilaktycznie wmusił w siebie kawałek wczorajszej pizzy. Dobrze zrobił, bo potrzebował dziś sporo siły, choć z początku nic tego nie zapowiadało.

Kiedy tydzień temu dostali wezwanie na Obywatelską, do jednego z tych nowych, niedużych apartamentowców, podejrzewał, że będą mieli do czynienia z dość standardową sprawą. Normalna okolica, żaden slums, nie było powodu do złych przeczuc. Blattner sądził, że stwierdzą śmierć naturalną, ewentualnie samobójstwo. Tym razem intuicja niczego niepokojącego mu nie podpowiedziała.

Natalia Marzec, dwudziestosiedmioletnia jedynaczka, lekarka zatrudniona w jednym z łódzkich szpitali, dobrze zapowiadająca się kariera, ojciec – biznesmen, matka – uniwersytecki wykładowca, rodzina majątna, luksusowe mieszkanie, narzeczony – prawnik. Idealne życie. Parę rzeczy jeszcze musieli sprawdzić, jednak na pierwszy rzut oka nie wyglądało to na samobójstwo. Gdyby chociaż miała uczulenie na orzechy czy na coś, co mogłaby zjeść przez pomyłkę. O podaniu sobie przypadkiem prokainy nie było mowy. Zresztą nie znaleźli opakowania. A z tego, czego się dowiedział, wynikało, że reakcja alergiczna następuje niemal natychmiast. Gdyby przyjęła specyfik gdzie indziej, raczej tam by została. Miał już protokół sekcji. Zdążył zerknąć jedynie na podpis – należał do Ady.

Ada... Nie widział jej od tamtego dnia w „Iron Horse”. Po zakończeniu sprawy Aptekarza wszystko wróciło ze zdwojoną energią i złamał swoją żelazną zasadę. Miał nigdy nie gonić kobiety, miał uszanować jej decyzję. Stało się inaczej. Zadzwoił kilka razy, ale nie odebrała. Ani nie oddzwoniła. Nie mógł się dalej oszukiwać. Wycofał się na dobre. Od tej pory unikał spotkań z nią i z Krzyśkiem, jednak wiedział, że długo tak się nie da. W końcu będzie musiał stawić czoło dawnym demonom, choć akurat teraz, kiedy demony wreszcie odrobinę przysnęły i przestały go dręczyć, nie było mu to na rękę. Zdawał sobie sprawę, jak nietrwała jest świeżo odzyskana emocjonalna równowaga. Jeden bodziec, a znów ruszy lawina. Właśnie dlatego chciał jak najdłużej odwlec konieczność ujrzenia Ady. Jak ostatni tchórz po protokół z sekcji znów wysłał Łukasza. Coraz częściej odnosił nieprzyjemne wrażenie, że partner podejrzliwie mu się przygląda. Trochę go to niepokoiło. Luka nie był przecież głupi, musiał zauważyć, że od jakiegoś czasu Blattner wyraźnie Ady unika.

A może zwyczajnie płatała mu figle rozbudzona nieczystym sumieniem wyobraźnia?

Melona zjadł na stojąco, przy kuchennym blacie. Wrócił do pokoju, wyciągnął się na kanapie, zgasił lampkę i włączył *Dummy Portishead*. Musiał odpocząć: wyczyścić ze śmieci twarde dyski, zrestartować się i przygotować mózg do szybkiej, wydajnej pracy. Jego intuicja chyba się wreszcie obudziła – teraz już

wyraźnie czuł, że to nie będzie łatwa sprawa. Z głosników popłynął psychodeliczny, hipnotyzujący wokalista Beth Gibbons. W kobiecie o takim głosie mógłby się zakochać. Gdyby miał na to siłę. Ale nie miał. A może nie chciał. Sam nie wiedział, czego pragnie. Chyba najbardziej, żeby nie pragnąć w ogóle. Niepotrzebnie budził arktyczne jezioro do życia. Mógł egzystować jak dotychczas, bez wzlotów, ale i bez upadków, spokojnie tkwić pod bezpiecznym lodem. Teraz będzie ostrożniejszy – obiecał sobie. Nie da się więcej wkręcić w tę popapraną grę, w której był tak słabym zawodnikiem. Wyciągnął się wygodniej i zatopił w niepokojących dźwiękach *Sour Times*.

*Who am I, what and why?*

*'Cause all I have left is my memories of yesterday*

*Oh these sour times*

*'Cause nobody loves me, it's true*

*Not like you do*

Beth śpiewała o nim. I nie o nim. Bo jego nikt nigdy w ten sposób nie kochał. Nawet Eliza była mu bardziej matką niż kochanką. Ada... miał wątpliwości, czy ona w ogóle jest zdolna do miłości. I oto właśnie Królowa Śniegu rozbiła jego lodową taflę. Cóż za ironia. Pozwalał sobie na podobne myśli, na muzykę, tak bardzo kojarzącą mu się z najpiękniejszymi chwilami jego pozbawionego większych namiętności życia. Nie dlatego,

że czuł się już pewnie. Wcale nie. Przepaść wciąż była bardzo blisko. Trudno powiedzieć, czy przyciągała go otchłań, czy chciał sprawdzić samego siebie. Zaciśnął powieki i jak co wieczór od kilku tygodni zaczął odtworzać dobrze zapamiętane sceny: miękkie usta, wplątane w jego palce włosy, pachnącą zmysłowo słodkim piżmem aksamitną skórę. Przyspieszony oddech Ady, mocne tykanie własnego pulsu, odrealnione echo szepotów. I słowa, wszystkie słowa, które wypowiedziała w chwilach uniesienia. Pozostałe starał się zapomnieć. Zасыpiając, nie chciał analizować minionego dnia, nie chciał widzieć martwych ciał, szklanych spojrzeń. Ada była jego bajką – za dnia schowaną głęboko na najwyższej półce, wyciąganą tylko po zmroku, na dobranoc.

W rzeczywistości nie pragnął spotkania. Nie był pewny własnej reakcji. Jeszcze nie. Wolał mieć Adę pod powiekami. Jak gdyby nigdy nie istniała, jakby tylko ją sobie wymyślił. Tak jak kochał się w głosie Beth Gibbons, tak kochał się we wspomnieniach. Wszystko powoli wracało do normy, znów zaczynało być po staremu. Jak wtedy, kiedy ujrzał Adę po raz pierwszy. Jak wtedy, kiedy latami jej pragnął, ale nigdy się nie odważył. Marzenia odnalazły bezpieczne, dobrze znane miejsce – znów je trzymał ukryte głęboko w kieszeni. W ten sposób wydawały się łatwiejsze do zniesienia.

Innego dnia poczekałby, aż muzyka i tworzone w głowie obrazy go uspią. Dziś jednak nie mógł sobie na podobny luksus pozwolić. Kiedy wybrzmiał



ostatni dźwięk *Glory Box*, z ciężkim westchnieniem włączył światło i podniósł się z posłania. Zbliżała się dwudziesta trzecia, nareszcie zrobiło się chłodniej. Poczuł, jak od okna napływa delikatna bryza, powiew niemal niedostrzegalny, a i tak na wagę złota podczas trwającego drugi tydzień okrutnego upału. Zgarnął z lodówki zimne piwo, z szafki solone orzeszki i wrócił na kanapę. Teraz, gdy ucichła muzyka, szum wentylatora zrobił się nieznośny, przestawił więc urządzenie na niższe obroty. Otworzył teczkę z protokołem sekcji.

Ominął wzrokiem część formalną i szybko przejrzał wyniki zewnętrznych oględzin. Nie wniosły nic do tego, czego się dowiedział od medyka na miejscu zbrodni. Skupił się na oględzinach wewnętrznych. W końcu dotarł do najbardziej interesującego fragmentu: *causa mortis*. Raport wskazywał na wstrząs normowolemiczny, a konkretnie – anafilaktyczny. Sięgnął do załączników. W Zakładzie Medycyny Sądowej zlecono wykonanie badania toksykologicznego oraz histopatologicznego. Obydwa potwierdzały ustaloną przez anatomopatologa przyczynę. Toksykologia wykazała obecność prokainy, ale też znaczną zawartość alkoholu, histopatologia zaś charakterystyczne objawy DIC, czyli zespołu wykrzepiania wewnątrznaczyniowego. Nastąpiła również degranulacja komórek tucznych – typowa przy tego rodzaju wstrząsie. Prokaina została najprawdopodobniej podana za pomocą iniekcji w mięsień czworogłowy uda.

Radziejewski już zlecił śledztwo w tej sprawie. Było oczywiste, że Natalia Marzec nie wstrzyknęła sobie pro-

kainy sama. Jeśli chciałyby w ten sposób popełnić samobójstwo, nie zdążyłyby usunąć strzykawki. Po co zresztą miałyby coś takiego robić? Który samobójca troszczy się o zacieranie śladów? Gdyby natomiast, jakimś cudem, wstrzyknęła sobie prokainę przez pomyłkę, miała pod ręką anapen. Czemu go nie użyła? Funkcjonowała ze swoim defektem od dziecka. O uczuleniu dowiedziała się w wieku siedmiu lat, podczas zabiegu stomatologicznego, kiedy przeżyła wstrząs podobny do tego, który teraz ją zabił. Jako lekarka dobrze się orientowała, co należy w takiej sytuacji zrobić. Blattnera z początku zastanawiało, po co miała w domu adrenalinę. Przecież nie było raczej ryzyka przypadkowego dostarczenia alergenu do organizmu. Dorota odpowiedziała mu, że domy lekarzy są wyposażone w rozmaite specyfiki, a Natalia po traumatycznym przeżyciu z dzieciństwa mogła się po prostu pewniej czuć, trzymając w zasięgu ręki lek ratujący życie.

Jeśli natomiast ktoś dziewczynie prokainę podał, zrobił to celowo. Miał przy sobie akurat ten specyfik, musiał więc wiedzieć o alergii swojej ofiary i wykorzystał to z zimną krwią. Nie wstrzyknął jej też adrenaliny, o którą niewątpliwie, dusząc się, błagała. Być może nawet uniemożliwił Natalii sięgnięcie do szuflady, w której przechowywała anapen. Bez dwóch zdań – mieli do czynienia z zaplanowaną zbrodnią.

– O w mordę... – Pokręcił głową z niedowierzaniem, kiedy otworzył kolejną stronę raportu.

Tajemnica poradników perfekcyjnej pani domu została wyjaśniona. Natalia Marzec w chwili śmierci była w

cięży. Sprawa niespodziewanie się komplikowała, choć z drugiej strony nowa okoliczność mogła okazać się pomocna. Ada zleciła dodatkowe badania w celu precyzyjnego ustalenia wieku płodu. Miał co najmniej dziesięć tygodni.

Blattner ruszył do przedpokoju po plecak, z którego wyciągnął kolejną granatową tekturową teczkę. Wrócił na kanapę i zaczął rozkładać fotografie. Na miejscu zbrodni zabezpieczyli sporo materiału, jednak trudno było powiedzieć, czy się na coś przyda. Po wykluczeniu ratowników oraz policjantów znaleźli ślady bytności siedmiu osób. Przynajmniej na razie. Cztery z nich z łatwością zidentyfikowali: rodzice – Elwira i Roman Marcowie, Dawid Sulej – narzeczony, oraz Laila Mirzakhani – przyjaciółka denatki. Liczył, że pozostałe uda się wyłowić po wizycie w miejscu pracy Natalii, rozmowach z sąsiadami, znajomymi lub rodziną. Przyjrzał się zdjęciom. Dwa z nich, pochodzące z mieszkania ofiary, przedstawiały ją z narzeczonym. Następne, wypożyczone od rodziców, były częścią profesjonalnej sesji, którą zafundowali córce na dwudzieste piąte urodziny. Kolejne dostarczył policyjny fotograf. Te Blattner odłożył na bok. Zanim zacznie myśleć tylko o jej śmierci, chciał poznać Natalię żywą. Ze zdjęć patrzyła na niego prześliczna blondynka, dość wysoka i bardzo szczupła. Jej oczy były nieprawdopodobnie błękitne. Przez chwilę się wahał, czy to aby nie dzieło Photoshopa, jednak pozostałe fotki potwierdzały, że Natalia stanowiła ucieleśnienie marzeń małych i dużych chłopców. Jasne loki, śnieżnobiały uśmiech, łagodna opalenizna, piękne nogi, słodkie, lazururowe spojrzenie posy-

lane w kierunku obiektywu spod ciemnych, długich rzęs z pełną świadomością wrażenia, jakie wywołuje – gdyby nie była lekarką, spokojnie mogłaby zostać modelką. Jak widać, dziewczyna poza urodą miała też coś w głowie. W końcu medycyna to nie przelewki. Piękna, zdolna, z bogatej rodziny. Kto przerwał cudowny sen księżniczki o złotych włosach? Nie zdziwiłby się, gdyby motywem była zwykła, pospolita zazdrość. Takim dziewczynom jak ona pewnie nieraz życiono... no, może nie aż śmierci, ale przynajmniej solidnego potknięcia. A narzeczony? Ciekawe, jak się żyje z Miss America u boku? Do tego bystrą i niezależną? Pewnie niełatwo. Jak w tym powiedzeniu: kobiety są jak tłumaczenia – albo brzydkie i wierne, albo piękne i niewierne. A może było odwrotnie? Może to tłumaczenia były jak kobiety? Przeciętnej urody, nieco krępy i odrobinę niższy od swojej dziewczyny prawnik nie przypominał amanta. Jeśli był choć w połowie tak nijaki, na jakiego wyglądał, raczej nie spał spokojnie. Zwłaszcza wtedy, kiedy narzeczona nie odbierała zbyt długo telefonu albo gdy wyjeżdżała z przyjaciółką na babski weekend. Swoją drogą, Sulej i Marcówna kompletnie do siebie nie pasowali. *Co ich połączyło?* – zastanowił się. Zwykle takie dziewczyny wybierają facetów z najwyższej półki. Młody prawnik, co prawda, sprawiał wrażenie bardzo sympatycznego gościa, ale do czarującej Natalii było mu daleko. Na wszystkich zdjęciach wyglądał, jakby złapał Pana Boga za nogi. Dobrze wiedział, jakie szczęście go spotkało, o czym niezbitcie świadczył wlepiony w blond Wenus, oczarowany wzrok zakochanego kundla. Najwy-

rażniej zmarła nie przywiązywała wagi do powierzchowności partnera, co tylko dobrze o niej świadczyło. Blattner raz jeszcze przyjrzał się idealnym rysom Natalii. Kto i dlaczego chciałby pozbawić życia tak słodkie stworzenie?

Pozbierał fotografie. Zastąpił je tymi z miejsca zbrodni. Obawiał się, że czeka ich żmudne szukanie po omacku. No cóż, od czegoś trzeba zacząć. Wziął do ręki komórkę i wybrał numer Łukasza.

– Co tam? – Woźniak odezwał się po pierwszym sygnale.

– Widzę, że też nie śpisz? – Dopiero zauważył, że jest dobrze po pierwszej.

– Jakoś mi nie idzie to spanie.

– Wszystko OK? – Zaniepokoił go ton partnera.

– Taaa... OK. Nigdy nie było lepiej.

– Jakiś problem?

– Coś w tym guście, małe kłopoty w rajku. Ale zostawmy to, dobra? Nie chce mi się o tym teraz.

Blattner dawno nie słyszał takiej rezygnacji w głosie Luki. Zazwyczaj pełen energii, skory do przekomarzania, dziś brzmiał, jakby miał ze sto lat i pokaźny bagaż trudnych doświadczeń za sobą.

– Dobra, jak chcesz. – Postanowił nie drążyć.

Pogada z nim jutro, może pojutrze, kiedy Łukasz będzie gotowy – obiecał sobie. Sam w końcu też nie znosił, kiedy ktoś go naciska.

– Czytałeś protokół z sekcji? – Woźniak zmienił temat.

– No właśnie. Ja w tej sprawie. Mam to przed sobą. Ogólnie wszystko tak, jak podejrzewaliśmy. Wstrząs

anafalaktyczny, ślady prokainy w organizmie, innych obrażeń brak.

– Czyli mamy robotę.

– Ano mamy – potwierdził Blattner. – I ta ciąża...

Trzeba ustalić, kto jest ojcem.

– Pewnie Sulej.

– Się okaże. Od niego w każdym razie zaczniemy. Zrobimy test DNA. Jutro też wbijemy do szpitala. Trzeba pogadać z ludźmi. No i dalej szukamy osób, które były w ostatnim czasie u dziewczyny.

– To co? Widzimy się rano w szpitalu?

– Tak, spotkamy się na miejscu. Powiedzmy około jedenastej, będzie już po obchodzie.

– Spoko. Jak coś, to w holu na dole, żebyśmy się po tym molochu nie szukali.

– A... Łukasz! Jeszcze jedno. Będę miał do ciebie prośbę.

– Dawaj.

– Wyślij może paru chłopaków na Obywatelską, niech zrobią rozpytanie. Zaoszczędzimy trochę czasu.

– A dziewczynę mogę? – Wreszcie w głosie Łukasza zagościł cień uśmiechu.

– Racja, niech jedzie. Dobrze jej zrobi, jak się przewietrzy. Ostatnio trochę bladawa chodzi.

Komisarz kompletnie zapomniał, że od jakiegoś czasu mieli w zespole młodziutką policjantkę, Zosię Lenczewską. *Swoją drogą, też się pannie temat na początek trafił – skrzywił się na samo wspomnienie. Z mety na głęboką wodę. Natalia mogłaby być jej kumpelą.* Przypomniał sobie,

jak małej trzęsły się ręce, kiedy wykonywała czynności zabezpieczające. Potem wyszła przed blok. Widział z okna jej lśniąca w ostrym słońcu, wściekle rudą czuprynę. Wyraźnie musiała ochłonąć. Nic dziwnego. To był jej pierwszy trup. I tak nie najgorszy. Nie jak jego początki: cuchnące, sinozielone, spuchnięte truchło. Dobrze, że ktoś wepchnął mu wtedy do nosa waciki z lidokainą, inaczej na bank by się porzygał. Do zwykłego odoru trupa zdołał się przez lata przyzwycząić. Specyficzny, słodkawo-ostry, obrzydliwy zapach nie robił już na nim wrażenia. Nadal go jednak mdliło na samo wspomnienie fetoru dobrze nadgniętego topielca. Tego smrodu długo nie udawało się niczym zneutralizować. Nawet po trzech prysznicach i butelce żubrówki nie dał rady się go pozbyć. I w takich właśnie mało przyjemnych okolicznościach Blattner został „rozdziewiczony”. A przecież mógł trafić na świeże ciało jakiegoś higienicznego samobójcy. Albo na kogoś, kogo zwyczajnie zastrzelono. Wszystko było lepsze od wodnika szuwarka – każdy gliniarz mógł to potwierdzić. Przypomniawszy sobie bladą twarz Zośki. *Trzeba się było do dochodzeniówki nie pchać, jak taka delikatna* – pomyślał zjadliwie, ale zapisał w pamięci, żeby dać dziewczynie trochę odsapnąć. Nie wszystko naraz, mała musi się najpierw wdroyć. *Byle jej tylko tak nie zostało* – westchnął. Nie miał czasu ani ochoty na bawienie się w starszego kolegę – terapeutę.

Pochował wszystkie papiery i zdjęcia do teczek, a następnie pociągnął spory łyk wody. Zanim wyłączył światło, na talerz gramofonu wrzucił jeszcze *Koop Is-*

*lands*. Jego nowy-stary nabytek spisywał się znakomicie. Kupiony na Allegro sprzęt Unitry, model Bernard, radził sobie z dźwiękiem dużo lepiej niż nowoczesne wynalazki. Chodził jak złoto, ale nic dziwnego, bo został odrestaurowany przez znajomego Rosy, niejakiego Mietka Kaletę, szerzej znanego jako Ponton, wyśmienitego tatuazystę i najlepszego w Łodzi fachowca od starych adapterów. Czarne płyty miały swój niepowtarzalny urok, czego przez lata Blattner zdecydowanie nie doceniał. Za to teraz chętnie wymieniłby wszystkie kompaktki i mp3 na winyle. Lekkie trzaski, konieczność przerzucania stron, hipnotyzująco obracające się logo – wszystko tworzyło swoisty rytuał, który nie sprzyjał pośpiechowi. Tak przedmiot zyskiwał duszę. W ciemność popłynął melancholijny, lekko swingujący *Koop Island Blues*. Ane Brun zaśpiewała:

*Hello my love*

*It's getting cold on this island*

*I'm sad alone*

*I'm so sad on my own*

Choć wcale nie było zimno, poczuł wewnętrzny chłód, jakiś irracjonalny, nieokreślony lęk czy żal – nie potrafił zdecydować – który bez ostrzeżenia zatopił lodowate paluchy w zbyt szybko bijącym sercu.



# 3.

Na początku był chłopiec. I była dziewczynka. Była też piękna mama, mądry tata oraz ciocia Tusia, najbardziej kochana, choć tak naprawdę nie była ich cicią. Dni mijały zwyczajnie. Czasem tata wracał wcześniej z pracy, wtedy wszyscy razem jedli kolację. Te chwile lubili najbardziej.

Dotarł na miejsce dobre dwadzieścia minut przed czasem. Czekając na Łukasza, schronił się przed palącym słońcem w podcieniach. Z przeciwległej strony ulicy miał doskonały widok na okazały budynek z początku dwudziestego wieku. Podobno wybudowano go w kilkanaście miesięcy. Niezły wynik jak na tamte czasy. Właściwie nic dziwnego – śmiałe wizje były przecież domeną tego miasta, które całe powstało błyskawicznie, niemal z niczego, nagle i gwałtownie jak w tej komputerowej grze, nie pamiętał jej nazwy. Dziś parę chałup na krzyż, jutro przemysłowy moloch. I tak do teraz. Po wielkim upadku, po okresie żałoby, po trudnym czasie lizania ran Łódź znów wpadła

w wir transformacji. Tak szybkich, tak spektakularnych, że Blattner zaczął się w tym wszystkim gubić. Miasto, które przeżyło własną śmierć, budziło się do życia – z rozmachem, jakiego nie powstydzilyby się bogate metropolie. Nowy blichtr, jak kiedyś, w dziewiętnastym wieku, podszyty był nutką dekadencji, skomentowany ledwie dostrzegalnym mrugnięciem powieki. Tu wszystko było prawdziwe, ale nic do końca serio – ani budynki, ani mieszkańcy. Gdyby wyjechał z Łodzi, gdzie znalazłby równie absurdalną, a jednak pokojową mieszanę wielkopańskich ambicji i rozbrajającej bezpretensjonalności? Eklektyczny urok szalonych pomysłów? Na taki amalgamat stać było jedynie Geyera, Scheiblera, Grohmana, Poznańskiego oraz pozostałych wizjonerów, którzy bez wahania wbijali obcasy drogich francuskich butów w pył i błoto Ziemi Obiecanej. Podobną brawurę nosili w sercach ich następcy, a także potomkowie wiejskiej biedoty, jaką przygnało do miasta to samo marzenie. Pan czy cham – każdy chciał tutaj spełnić swój wielki sen o lepszym życiu. Komisarz przypomniał sobie zdjęcie, które pokazała mu kiedyś babcia. Miała na nim jakieś siedemnaście lat, a wyglądała jak filmowa gwiazda: kapelusz z dużym rondem, sukienka szyta zgodnie z najnowszą modą, trzewiki na obcasie, eleganckie, dekorowane drobnymi guziczkami rękawiczki. Była służącą w bogatym mieszczańskim domu. Na co dzień spała kątem w kuchni i nosiła fartuch, ale kiedy dostawała wychodne, nikt jej nie

odróżnił od prawdziwej damy. Czasem stroje robotnic musiały być naprawdę odważne i wyszukane, skoro uważano je za główny powód prostytutki. Taka właśnie była Łódź: w tygodniu zwyczajna, zapracowana kobieta, w weekendy i po zmroku intrygująca, niepokromiona filmowa gwiazda, nieodrodna córka bohemy - wyrrywająca się schematom, niemożliwa do opisanía. Mimo trudów dobrze się żyło w mieście wolności. Tutaj nikt nie szufladkował człowieka po adresie. Blattner mógł być kim chciał, mógł wierzyć w co chce, nikogo nie dziwiło niemieckie nazwisko. Nikt też nie pytał, co robi wieczorami i czy chodzi do kościoła. Nikt, z wyjątkiem matki, która rozpaczliwie oraz bezskutecznie próbowała odnaleźć stracony czas – tę troskę jednak raz w miesiącu jakoś dawał radę znośić. Bywało, że ktoś pokłócił się o politykę, czasem o interesy, by chwilę później godzić się serdecznie przy kufle piwa. Ludziom w tym mieście nigdy nie żyło się łatwo – rozumieli, że należy trzymać się razem. I nie robić we własne gniazdo. Od czasów pierwszej fabryki właśnie solidarność pozwalała im przetrwać w surowym świecie twardych reguł. Solidarność, a także poczucie humoru. Każdy wiedział, że problemom trzeba śmiać się prosto w twarz, głośno i bezczelnie, nie szukając ich przyczyny w diabelskich sztuczkach czy boskich wyrokach. Tu się brało los we własne ręce, tu się walczyło do końca. Miasto z radością witało każdego, kto przestrzegał prostych zasad. Artysta czy robotnik, przyjezdny czy miejscowy, biedny

czy bogaty – miał prawo żyć jak chciał, nieważne, czy i w co wierzył. Byłe nie wchodził innym w paradę. Łatwo było w Łodzi zabłysnąć, łatwo było się ukryć. Zwłaszcza ostatnia opcja wydawała się komisarzowi szczególnie atrakcyjna.

Raz jeszcze rzucił okiem na udekorowany wielkim napisem budynek. *Ale z tym kolorem to kogoś fantazja poniosła* – skwitował w duchu. Dziwaczny cytrynowy odcień elewacji boleśnie kontrastował ze starą architekturą.

Blattner poczuł, że T-shirt zaczyna mu się kleić do pleców. Postanowił poszukać schronienia w szpitalnym holu, gdzie co prawda nie spodziewał się przyjemnego chłodu, jednak liczył, że solidne, stare mury dadzą choć odrobinę wytchnienia od wszechobecnego ostrego słońca. Ruszył dziarsko w kierunku przejścia dla pieszych. Przy ogromnych zabytkowych drzwiach niemal zderzył się z Łukaszem.

– Chyba zdechnę od tego gorąca – powitał go aspirant.

– Jak w piekle...

– Jaki plan? – zapytał Woźniak, kiedy znaleźli się w budynku.

– Najpierw zróbmy zaopatrzenie w wodę. Gdzieś tu powinien być jakiś bufet. A... i na razie nie mówimy nikomu o ciąży Natalii. Przynajmniej do czasu kiedy nie ustalimy, czy to dziecko Suleja.

– A kiedy będą wyniki badania DNA?

– Jeszcze kilka dni. Dopiero pobrali materiał od narzeczonego. Ale stawiam wódkę, jeśli dzieciak okaże się jego.

– Czemu miałby nie być? Nie rozumiem. – Mina Łukasza faktycznie świadczyła o potężnym zdumieniu.

– To był przynajmniej dziesiąty tydzień. Nie powiedziała o tym swojemu chłopakowi? Jakoś nie sądzę.

– Z babami to nigdy nie wiadomo. Stary, one nie są jak normalni ludzie. Wierz mi – skwitował Woźniak i skierował się do bufetu.

Blattner znów wychwycił w głosie partnera jakąś dziwną, gorzką nutę.

Ściskając w dłoniach zimne butelki z mineralną, ruszyli na górę. Na schodach minęli rozbawioną grupę młodych ludzi w białych kitlach. Nieco wyżej stał niezbyt atrakcyjny chłopak i z wściekłością w oczach patrzył na kolegów.

– Śmiecie się... Jeszcze zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni – mruknął pod nosem.

Rozbawieni lekarze, a może studenci, Blattner nie był pewien, znów ryknęli gromkim śmiechem.

– Ciszej trochę, drodzy państwo! – uspokoił ich strażnik.

Przestali rechotać, choć nadal dość głośno rozmawiali, komentując zjadliwie wygląd oraz zachowanie chłopaka, aż wreszcie zniknęli za zakrętem.

Oddział neurochirurgii mieścił się na drugim piętrze zabytkowego budynku i sam był też dość zabytkowy. Próby liftingu niewiele pomogły – wysoki korytarz, choć na błysk wypucowany, przedstawiał widok jak z horroru o psychicznie chorych. Wszędzie porozstawiano parawany osłaniające łóżka tych, dla których

zabrakło miejsca w salach. Widać było, że personel robił co mógł, by w tych skromnych warunkach zapewnić chorym minimum prywatności. Blattner zauważył, że choć ogromnych okien jest pod dostatkiem, większość z nich pozamykano na cztery spusty.

– Gorąco, nie? – zagaiła starsza pielęgniarka, kiedy już ich wylegitymowała. – Nie dają okien otwierać. Jak jeden chce, to drugiemu zimno, i tak w kółko – biadoliła. – Ciągłe kłótnie o te okna. Ledwie toto łązi, ale do awantur ma siłę – podsumowała. – Panowie poczekają. Profesor Weinsberg i doktor Orłowski są na bloku. Ale zaraz przyjdzie doktor Marczak, on z panami porozmawia. Boże mój... Taka straszna historia z naszą doktor Natalką. Nie mogę się po prostu otrząsnąć. Co za tragedia.

Pielęgniarka zostawiła ich pod pokojem lekarskim. Znajdujące się nieopodal ławki zajęły rodziny pacjentów. Wszyscy czekali na koniec operacji ich bliskich. Dalej mieścił się kolejny, wyłożony linoleum korytarz, gdzie wstęp był wzbroniony. Na końcu korytarza widniały szklane drzwi z napisem: BLOK OPERACYJNY. Blattner potarł nos, w którym zaczęło go kręcić od zapachu środków dezynfekujących. Nienawidził atmosfery szpitali, pewnie jak większość ludzi. On jednak nie znosił jej wręcz histerycznie. Na myśl, że miałby znaleźć się na miejscu któregoś z leżących w szpitalnej pościeli chorych, przechodziły go ciarki. Dotychczas los był łaskawy – oszczędzał mu tej wątpliwej przyjemności. Komisarz miał szczerą nadzieję, że tak pozostanie do końca. Przy-

glądał się młodemu mężczyźnie z zabandażowaną głową, który ostrożnie spacerował, wspierając się na balkoniku. Inny chory, ze stojakiem do kroplówki, nieporadnie kręcił się przy niewielkiej, umieszczonej na środku dyżurce pielęgniarek i parzył sobie herbatę. Wszędzie, w salach, a także poza nimi, pełno było łóżek z ludźmi po neurologicznych zabiegach, o czym świadczyły opatrunki. Niektórzy jeszcze czekali. Odwrócił wzrok. Przyczajony w ich oczach strach był nie do zniesienia. Na myśl, w jakiej znajdują się sytuacji, wstrząsnął nim dreszcz. Nie potrafiłby tu pracować. Wolał widok trupów. Mimo wszystko. A może po prostu do martwych już się przyzwyczaił?

– Zimno ci? – zdziwił się Luka, dostrzegając mimowolną reakcję partnera.

– Nie. Jakiś nerwoból czy coś – wytłumaczył się szybko, w obawie, by ten nie domyślił się prawdziwej przyczyny. Nie chciał wyjść na mięczaka.

– Zacznij wreszcie ćwiczyć, to ci nerwobóle przejdą – dokuczył mu Woźniak, dobrze wiedząc, że Blattner od dawna omija siłownię z daleka.

*Bezczelny mówniarz* – dołożył młodemu w myślach, ale się nie odezwał. W gruncie rzeczy chłopak miał rację.

Łukasz swobodnie oparł się o ścianę i zaczął przeglądać wiadomości na Facebooku. *Nic go nie rusza?* – zdumiał się komisarz. Nagle uświadomił sobie, że kiedy był w jego wieku, choroby wydawały mu się czymś odległym, czymś, co się zdarza, ale innym, jego nie dotyczy. Być może jeszcze dziesięć lat temu sam by się zaśmiewał z durnych internetowych memów, zamiast obserwować

pacjentów i zastanawiać się, co czują. Teraz ich położenie wydawało się Blattnerowi całkiem bliskie. Tego właśnie bał się najbardziej – nie nagłej śmierci, ale choroby. Takiej, która uczyni z niego kogoś innego i raz na zawsze odbierze mu jego życie. Życie, którego wcale aż tak nie lubił, bo przecież nie było w nim zbyt wiele do lubienia, a które jednak panicznie bał się stracić czy raczej zamienić na pełne bólu, a co gorsza – niedołężności. Nie potrafił sobie wyobrazić, co by było, gdyby jak ten chłopak z zabandażowaną głową spędzał dni na dreptaniu w tę i z powrotem śmierzącym środkami odkażającymi korytarzem. Albo gdyby był jak ta kobieta, która leżała nieopodal dyżurki pielęgniarek i od wielu minut przeglądała tę samą stronę kolorowego pisma. Wiedział, że nie czyta, że tylko zasłania twarz, ukrywając spływające po policzkach łzy. Czy dziś czeka ją ten dzień? Czy może jutro? Ile jeszcze godzin musi się wpatrywać w zdjęcia ilustrujące artykuł o kosmetykach, zanim się zacznie? Zanim wywiozą ją w kierunku szklanych drzwi, które być może otworzą się dla niej tylko w jedną stronę?

– Luka, po rozmowie z doktorem trzeba jeszcze się tu pokręcić. Może później się rozdzielimy? Będzie szybciej – zwrócił się do partnera, by przerwać potok czarnych myśli. Czuł się chory od samego patrzenia.

– W porządku. Ty zostań tutaj, a ja się rozejrzę. Popytam portiera, babkę z bufetu. Ktoś tu pewnie Natalię kojarzył. A potem... – przerwał, bo stanął przed nimi średniego wzrostu lekko łysiejący blondyn w trudnym do określenia wieku.



– Panowie z policji? – zapytał.

Przytaknęli.

– Artur Marczak – przedstawił się. – Mogę prosić panów o legitymacje? – Znowu zostali dokładnie skontrolowani.

– Zapraszam – rzucił w końcu i nie kłopotząc się przepuszczeniem gości w drzwiach, wszedł do niewielkiego pokoju.

Wnętrze mieściło tani, nieco zużyty regał, nakrytą krzaciastym kocem wersalkę, białe zamykane na klucz szafki i również białe biurko z komputerem, przy którym ustawiono jasny biurowy fotel. W rogu znajdował się nakryty żółtą ceratą kwadratowy stół, a wokół niego trzy krzesła. Trzeba przyznać, że pokój lekarski nie sprawiał imponującego wrażenia. Zapach publicznej służby zdrowia widać było na każdym kroku. Blattner zauważył, że do szafek przyczepiono kilka fotografii – wszystkie przedstawiały personel podczas jakichś spotkań towarzyskich. Jedna została zrobiona w trakcie Wigilii. *Ups, sorry, Christmas party* – poprawił się w myślach Blattner, spoglądając na podpis pod zdjęciem. Wigilie powoli odchodziły do lamusa. Na biurku stały dwa kubki. Pierwszy ozdobiono listem gończym z wizerunkiem mózgu i czerwonym napisem: WANTED! BRAIN! Poniżej, nieco mniejszymi literami, umieszczono informację: REWARD \$1.000.000. *Dużo to czy mało?* – zastanowił się. *Zależy, jak na to spojrzeć* – zdecydował. Drugi z kubków, dla odmiany niemożliwie kolorowy, przedstawiał – a to niespodzianka – mózg, opatrzony podpisem: THE

ANATOMY OF THE BRAIN. *Mniej dowcipnie, za to bardziej na miejscu* – skwitował w duchu. *Swoją drogą, ciekawe, czy powstała już jakaś praca na temat kubków?* Był zdania, że z ulubionych naczyń do kawy czy herbaty można sporo o człowieku wyczytać. Na biurku był jeszcze srebrny aparat telefoniczny, a obok niego leżał czarny notatnik, za którym na plastikowych półkach piętrzyła się góra teczek oraz luźnych kartek. Najwyraźniej, podobnie jak komisarz, personel oddziału nie miał zdrowia do papierów. Albo nie miał na nie czasu.

– Wie pan oczywiście, w jakiej sprawie przyszliśmy – zaczął Woźniak, kiedy zajęli miejsca: gospodarz na biurowym fotelu, oni na nieco wysiedzianej wersalce.

– Trudno nie wiedzieć. Wszyscy tu jesteśmy w szoku – odparł lekarz.

– Czy wie pan, co się mogło wydarzyć? – zadał pierwsze, kontrolne pytanie Blattner.

– Nie mam zielonego pojęcia. – Doktor wzruszył ramionami. – Kiedy się dowiedziałem, że Natalia nie żyje, byłem przekonany... wszyscy byliśmy – poprawił się – że to jakiś wypadek.

– Nie pomyślał pan o samobójstwie?

– Nie. Absolutnie. Ona, znaczy Natalia, była jedną z tych osób... jak to określić... których życie wygląda wręcz idealnie. Rozumie pan?

– Czy ktoś mógł jej tego życia zazdrościć?

– A kto nie zazdrościł?! – Marczak parsknął gorzko, jednak szybko się opanował. – Pan wybaczy, ale to oczywiste. Młoda, piękna, bogata, kariera szła jej jak

z płátka. Na pewno było wielu takich, którzy życzyli Natalii potknięcia.

– A pan?

– Co ja? – nie zrozumiał.

– Pan też jej źle życzył?

– Zaraz, zaraz... co mi tu insynuujecie? – Spurpurowiał na twarzy.

– Nic – pośpieszył z wyjaśnieniem Łukasz. – Chcemy wiedzieć, jakie mieliście relacje. Będziemy o to samo pytać również pozostałych.

– Dobrze. Ja akurat miałem z nią bardzo dobre relacje. Niektórzy zarzucali jej różne rzeczy, ale nie mieli racji. To była naprawdę miła dziewczyna.

– Jakie rzeczy? – dociekał Blattner.

– Wie pan, jak to ludzie, bzdury gadają. Że niby dziwne te jej szybkie awanse, że wszystko z pieniędzy tatusia, takie tam...

– Pan też tak uważał?

– Absolutnie nie – odparł lekarz z pełną powagą. – Natalia była bardzo zdolna i tyle. A ludzie zawsze będą gadać. O mnie też pewnie gadają. U nas to normalne.

– U was?

– No, w naszym środowisku... zawistników nie brakuje. Jak wszędzie.

– Fakt – westchnął Łukasz. – A kiedy ostatni raz pan ją widział?

– To chyba było dzień przed tym, jak zginęła. Następnego dnia rano, kiedy przyszedłem do pracy, dowiedziałem się, że nie żyje.

– Czyli możliwe, że był pan ostatnią osobą, która widziała Natalię Marzec żywą?

– A skąd mam wiedzieć?! – uniósł się Marczak.

– Proszę opowiedzieć o waszym ostatnim spotkaniu – dokręcał śrubę aspirant.

– Tego dnia po pracy poszliśmy do knajpy.

– Której?

– Do „Rademenesa”. Często tam chodzimy. To były urodziny Aśki, znaczy doktor Joanny Borkowskiej, spotkaliśmy się tam większą grupą. Zjedliśmy coś, trochę pogadaliśmy i się rozeszliśmy. To był wtorek, środek tygodnia, więc nie siedzieliśmy długo.

– Natalia wyszła sama?

– Nie, ze mną. Odwiozłem ją do domu, bo przyjechałem samochodem. Ja nie piłem – zastrzegł się podejrzanie szybko. – Następnego dnia byłem na bloku, więc cały wieczór przesiedziałem przy bezalkoholowym mojito.

– Rozumiem – potwierdził Łukasz. – A ona? Co piła?

– Pewnie jak wszyscy, jakieś piwo. Nie, zaraz... piła rum. Rum z colą. Dwa, trzy drinki, może więcej. Dokładnie nie widziałem. Teraz sobie przypominam, bo nawet trochę mnie zastanowiło, że się wstawiła. Normalnie raczej unikała alkoholu. Ale tego dnia przyjęli jej kolejną pracę do prestiżowego pisma medycznego. Za to jest sporo punktów. Pomyślałem, że świętuje.

Łukasz z Blattnerem wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Żadna kobieta, która czeka na upragnione

dziecko, nie pozwala sobie na alkohol. A zwłaszcza świadoma zagrożeń lekarka. Możliwości więc były dwie: albo nie wiedziała, że jest w ciąży, albo dziecko nie było specjalnie upragnione.

– Co się stało później? Kiedy pan ją odwiózł?

– Odprowadziłem ją na górę. Wypiłem kawę i poszedłem.

– A ona? Dalej piła alkohol?

– Chyba szklaneczkę... dwie... Dokładnie nie pamiętam. Kiedy wychodziłem, powiedziała, że jest padnięta. I martwiła się, że przesadziła z drinkami. Szczęśliwie następnego dnia miała być w poradni, liczyła, że stary się nie połapie. Jej się to nie zdarzało. Wie pan, różni w szpitalu pracują. Ale Natalia była bardzo odpowiedzialna. Nigdy by sobie nie na to pozwoliła, gdyby miała być na oddziale.

– Oczywiście – dla świętego spokoju zgodził się Blattner, choć świadomość obecności skacowanej lekarki, choćby i w poradni, nie stanowiła dla niego specjalnej pociechy.

– O której pan wyszedł? Pamięta pan?

– Na pewno przed dwudziestą pierwszą. Parę minut po dziewiątej byłem w domu. Może to potwierdzić moja rodzina.

– Żona?

– Tak, żona i pięcioletni syn. Jeszcze nie spali, kiedy wróciłem.

– Rozumiem. Pan wybaczy, ale muszę zapytać... Czy pana stosunki z Natalią Marzec były czysto przyjacielskie?

– Co pan ma na myśli?  
– Była piękną kobietą, odwiedzał pan ją w domu...  
– Chyba pan żartuje! Ja mam żonę, którą bardzo kocham, i małe dziecko! Nie w głowie mi jakieś romanse. To absurd.

– Naturalnie – przytaknął Łukasz, choć nie wyglądał na przekonanego. – Czy Natalia wspominała może o tym, że ma jakieś kłopoty? Że jest z kimś skonfliktowana?

– Nie, nic takiego nie mówiła. Jak panu powiedziałem, wyglądała raczej na zadowoloną z życia.

W tej chwili uchyliły się drzwi i do pokoju weszła mocno zbudowana młoda dziewczyna w zielonym lekarskim mundurku. Zdjęła z głowy chirurgiczną bandaż z nadrukiem śladów kocich łapek i cisnęła ją na biurko. Spod chustki wyдостаły się kręcone po-farbowane w kolorowe pasma włosy.

– I jak poszło? – zapytał Marczak.

– Nieźle. Reszta jeszcze na bloku. Chcieli zobaczyć do końca. Ja się zerwałam. A co to?! Zamykania pacjenta nie widziałam?! Kurczę, muszę w końcu dzisiaj trochę odsapnąć. Najwyżej stary się wkurzy, ale mam to gdzieś. On chyba myśli, że to jakiś kołchoz, nie szpital! Od tygodnia lecę jak na akord i co? Nie dadzą mi nawet na metr zbliżyć się do stołu. Boją się, że baba będzie od nich lepsza? Popatrzeć sobie mogą co najwyżej! Łaskawcy się znaleźli.

– Ciesz się, że możesz popatrzeć. Inni nawet tego zaszczytu nie dostąpili. Dobrze, że basenów nam nie

każą nosić – odparł jej kolega, po czym oboje wybuchnęli gromkim śmiechem. Marczak przypomniał sobie o obecności policjantów. – A... Aśka, są tu panowie z policji. Wiesz, w sprawie Natalii.

– O Jezu... to koszmar jakiś... – Kolorowa natychmiast zmarkotniała. – Joanna Borkowska – przedstawiła się.

– Komisarz Igor Blattner, Wydział Dochodzeniowo-Śledczy Komendy Wojewódzkiej w Łodzi. A to aspirant Łukasz Woźniak. – Wskazał na partnera. – Podobno wieczór przed znalezieniem ciała spędzałicie w „Rademenesie”?

– Tak, miałam urodziny. Spotkaliśmy się, ale na krótko, bo to środek tygodnia i rano każdy do roboty. Żadna impreza, szybka kolacja i tyle.

– To już wiemy.

– Natalia wyszła chyba z tobą? – Dziewczyna zerknęła niepewnie na Marczaka.

Potwierdził ruchem głowy.

– No to też już wiecie – kontynuowała. – Ja jeszcze chwilę posiedziałam z Orłowskim i się zebraliśmy.

– O której?

– Około dwudziestej drugiej.

– Wróciła pani prosto do domu?

– Tak.

– A doktor Orłowski?

– Nie wiem... Rozstaliśmy się na postoju taksówek. Po mnie przyjechała kumpela i skończyłyśmy imprezę u mnie.

- Nazwisko?
- Koleżanki? Ruks. Ewa Ruks. A po co wam ona?
- Musimy zweryfikować pani słowa.
- To jej telefon. – Zapisała numer na kartce i podała Blattnerowi.
- Kto jeszcze był na kolacji?
- Ja, Artur, Natalia, Orłowski, Jurek Witczak, Boguś Żurek, obaj od nas, a... no i Ala Ryłska z onkologii. Ona się kumpluje z Natką.
- Z kimś jeszcze zmarła utrzymywała tutaj bliższe kontakty?
- Nie wiem... – Lekarka wykrzywiła usta. – Artur?
- Spojrzała pytająco na kolegę.
- Jeszcze z Kingą chyba się lubiły.
- A tak! Kinga Cichocka, anestezjolożka – wyjaśniła.
- Też była z wami w „Rademenesie”?
- Była. Ale krótko. Wyszła jako pierwsza, nie? – Poszukała wzrokiem potwierdzenia u Marczaka.
- Ten skinął głową.
- Gdzie ją znajdziemy?
- Trudno powiedzieć. U nas jej dzisiaj nie ma. Na oddziale u anestezjologów musicie pytać.
- A szef?
- Weinsberg? – Pokręciła przecząco barwną czupryną. – Za niskie progi na jego nogi. On się z nami nie brata.
- Czy zauważyła pani coś podejrzanego podczas tego wieczoru?



– Nie... chyba nie... Siedzieliśmy i gadaliśmy. Jedynie co, to do Żurka wydzwaniała żona i trochę się z niego nabijaliśmy. Ale to normalne, ona zawsze go pilnuje jak diabli.

– Czemu? – zainteresował się Łukasz.

– No taka jest... wie pan...

– Może ma powody?

– Może. Ja tam nie wnिकam. Nie moja sprawa.

– Czy ktoś tutaj miał jakieś konflikty z Natalią? – kontynuował Blattner.

Znów zerknęła na Marczaka i ponownie wykrzywiła usta, tym razem w ironicznym uśmiechu.

– Niby nie...

– Niby?

– Ludzie trochę o niej gadali.

– Co gadali?

– Różne głupoty. Że stary... bo ona bogata z domu była, jej etat załatwił, innym razem, że Nata robi karierę przez łóżko.

– A jak było naprawdę?

– Skąd mam wiedzieć? Ja tak blisko z nią nie byłam. Trzymałyśmy się razem w pracy, bo wokół sami faceci, tylko my dwie na oddziale. Czasem pogadałyśmy. Nic więcej. Ale nie zdziwiłabym się.

– Nie? – Blattner posłał wymowne spojrzenie lekarzowi, który uciekł ze wzrokiem.

– Jak już tak sobie rozmawiamy, to panu powiem, że ona jakaś bardzo zdolna nie była. Miła dziewczyna, ale jeśli chodzi o sprawy zawodowe, niespecjalnie

lotna. A faktycznie w robocie układało jej się bardzo dobrze. No... co panu będę mówić... przewód doktorski otwarty, punkty nałapane, bo ją ciągle stary albo Orłowski do prac dopisywali, od stołu operacyjnego też jej nikt nie wyganiał. Mnie wpuścili na blok dopiero tydzień temu. A Nata miała tam wejście od samego początku. Ona się już uczyła, a ja traciłam czas. Co komu po chirurgu, który nie umie operować? Musiałam najgorsze dyżury brać, żeby patrzeć, jak to robią inni. Nawet szwów mi nie dali założyć. Co tu dużo gadać, takie jak ja mają pod górkę w męskim świecie. Co innego Natalia...

– Aśka, daj spokój – przerwał jej Marczak.

– No co? Nieprawdę mówię? Sam wiesz, jak to u nas jest. Mam już dość milczenia na ten temat. Ładna dziewczucha, ojciec przy kasie... takim zawsze łatwiej. Ale żeby nie było, ja nic nie wiem, żeby z kimś tu kręciła czy coś. Ogólnie jako koleżanka była w porządku – zastrzegła się.

Blattner spojrział na Borkowską i mógł iść o zakład, że była pierwszą, która obrabiała tyłek zmarłej. Gadatliwa lekarka ewidentnie uważała się za mądrzejszą i zdolniejszą od denatki. Miała wyraźne poczucie krzywdy, że jej droga zawodowa nie została tak usłana różami.

– Jeszcze jedno, czy słyszeli państwo, żeby coś doktor Marzec dolegało? Żeby na coś chorowała?

– Nie... chyba nie... – zawahała się Joanna. – Zda się, że była uczulona na prokainę, ale to raczej mało groźne, nie da się nieświadomie czegoś takiego przyjąć.

– Taaak? Była uczulona? Serio? – Marczak uniósł brwi. – Nie wiedziałem.

– No co ty pierniczysz? Wszyscy u nas przecież wiedzą – zdumiała się szczerze Borkowska. – Przy- najmniej tak mi się wydawało. – Wzruszyła szerokimi ramionami. – Poza tym nie słyszałam, żeby na coś chorowała. A czemu pytacie?

– Pytamy o różne sprawy – uciął krótko Blattner. – Dobrze, na razie tyle. Gdybyście państwo sobie cokolwiek przypomnieli, coś, co mogłoby mieć związek ze sprawą, proszę dzwonić bezpośrednio do mnie. – Z niemałym trudem wygramolił się z niskiej wersalki i wręczył lekarzom po wizytówce.

Marczak swoją natychmiast schował do kieszeni, a Borkowska oglądała biało-granatowy prostokąt z każdej strony, jakby pierwszy raz w życiu coś takiego zobaczyła.

– To już pewne? – zapytała zniecka.

– Co? – nie zrozumiał komisarz.

– Że Natalia została zamordowana?

– Prawdopodobnie.

– Czy... coś nam grozi? – drążyła.

– Nie sądzę. Czemu pani tak myśli?

– Bo ja wiem? Po tym seryjnym, co go całkiem niedawno przytknęli, człowiek nie czuje się w mieście bezpiecznie. A tu jeszcze takie coś.

– Nie ma powodów do obaw – wtrącił się Woźniak.

– Nic nie wskazuje na działanie seryjnego mordercy. Poza tym statystycznie byłoby dość dziwne, gdyby w

jednym roku pojawiło się w Łodzi dwóch takich, nie sądzi pani? – uśmiechnął się do niej półgębkiem, a ona skwapliwie odwzajemniła uśmiech.

*Oho... – pomyślał Blattner. Coś mi się wydaje, że ktoś tu komuś wpadł w oko. Marne szanse, laska zdecydowanie nie w jego typie.*

– To my się już pożegnamy. Jeszcze jedno, gdzie znajdziemy ordynatora Weinsberga i jego zastępcę, doktora Orłowskiego?

– Dziś będzie ciężko. Ciągłe są na bloku. Bóg jeden raczy wiedzieć, ile to potrwa. A jak zejda z bloku, to niech mi pan wierzy, słabo się będą nadawali do rozmowy. Stoją przy stole już ósmą godzinę. Zwykle po takim maratonie każdy neurochirurg pada na twarz – odparła.

– To kiedy można z nimi porozmawiać?

– Niech panowie idą do sekretariatu – poradził Marczak – i powiedzą, o co chodzi, to sekretarka znajdzie jakiś termin. Z nimi tak bez umówienia będzie trudno.

– Rozumiem, dziękuję. A ta Ala... czy może mi pan podać raz jeszcze jej pełne imię i nazwisko?

– Alicja Rylska-Zych. Znajdziecie ją na onkologii.

– Do widzenia – pożegnał się Blattner, zanim jednak zdążył to zrobić Łukasz, znów usłyszeli głos Borkowskiej.

– Może niech pan też zostawi nam swoją wizytówkę – zwróciła się do Woźniaka. – Tak na wszelki wypadek. Gdybyśmy nie mogli się do komisarza dodzwonić.

– Oczywiście... – Aspirant nie wyglądał na zachwyconego, ale sięgnął do kieszeni po kartonik.

Było jasne, że próbował tego uniknąć. Widać również wyczuł zagrożenie ze strony ekscentrycznej lekarki.

Opuścili pokój, a chwilę potem zza cienkich drzwi usłyszeli głos Marczaka. Nadstawili uszu, jednak mówił zbyt cicho, żeby mogli cokolwiek zrozumieć. Na ich szczęście facet w końcu stracił panowanie nad sobą; nie musieli już wyęźać słuchu.

– Niezła świnia z ciebie, Aśka! Po cholere gadałaś im na Natalię?!

Blattner kątem oka dostrzegł ironiczne spojrzenia, jakimi wymieniły się dwie przechodzące obok pielęgniarki.

– Stary, nic nie kumasz? Natalię ktoś kropnął. To przesłuchanie w sprawie o morderstwo, a nie *small talk*! Poważna sprawa. Ja nie zamierzam nic przed policją ukrywać. Jeszcze mi tego brakowało, żeby mnie o utrudnianie śledztwa oskarżyli. Rób jak chcesz, ale ci koleś muszą wiedzieć co i jak. No, chyba że z jakichś względów ci nie zależy...

– Co ty mi tu, kurwa, wkręcasz?!

– Przecież każdy wie, że się śliniłeś na jej widok jak buldog.

– Aśka! Przeginasz!

– No co? Prawda w oczy kole? Jeśli jej nie puknąłeś, to tylko dlatego, że ci nie dała. Myślisz, że głupia jestem?! Mnie się fajnie posuwało po pijaku, ale Natalia to co innego, nie?

– Aśka, nie wrzeszcz tak. Oszalałaś? Jeszcze ktoś usłyszy.

Panaceum  
Copyright © Agnieszka Sudomir  
Copyright © Wydawnictwo Literate  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover photo by Daria Eponchintseva  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-229-8  
epub ISBN 978-83-7995-230-4  
mobi ISBN 978-83-7995-231-1

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski  
Redakcja: Bożena Kurzydłowska  
Korekta: Małgorzata Tarnowska  
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski  
Projekt okładki: Aleksandra Bartczak  
Zdjęcie na okładce: Daria Eponchintseva  
Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak  
ul. Kormoranów 126/31  
85-453 Bydgoszcz  
[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)  
[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach  
[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)  
[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)



## FAZA REM AGNIESZKA SUDOMIR

Łódź, niegdyś Ziemia Obiecana, dzisiaj miasto pogrążone we nostalgii.

W bloku na Bałutach zamordowano studentkę. Na Julianowie przed swoim domem ginie bogaty lekarz. Morderca pozostawia na miejscach zbrodni fragmenty recept. Kiedy zostaje odnaleziona trzecia ofiara, media podejmują temat „Aptekarza” i w mieście wybucha panika.

Komisarz Igor Blattner musi rozwiązać zagadkę pierwszego od wielu lat seryjnego mordercy w Łodzi. Atakowany przez media, naciskany przez przełożonych, borykający się z problemami w życiu osobistym i kryzysem wieku średniego policjant staje przed największym wyzwaniem w swojej dotychczasowej karierze.

Blattner kieruje się w pracy jedną prostą zasadą. Występek nie zasługuje na wybaczenie, a wyłącznie na sprawiedliwą karę. Czy jednak to credo pomoże czy utrudni mu złapanie mordercy?

*Znakomicie nakreślone miasto jako tło i Igor Blattner – komisarz z krwi i kości, który musi się zmierzyć nie tylko z Aptekarzem, ale i własnymi demonami. Książka wciąga od pierwszej strony i nie pozwala usnąć aż do ostatniej.*

Michał Chmielewski, autor *Złe* i *Indygo*

PIERWSZY TOM SERII MIASTO OBIECANE





## SZABLON AGNIESZKA SUDOMIR

Adrian Lawson ma wszystko: cudowną rodzinę, wspaniały dom i pasjonującą pracę. Żyje w samym centrum Fabryki Snów, gdzie konsekwentnie buduje swój mały raj. Pewnego ranka budzi go sygnał przychodzących SMS-ów. W tym momencie kończy się rzeczywistość, którą Adrian znał. Teraz musi zmierzyć się z prawdą, o jakiej nawet mu się nie śniło. Czy zaufa samemu sobie i podejmie właściwe decyzje? Od tego będzie zależa-

ło nie tylko bezpieczeństwo jego najbliższych, ale znacznie, znacznie więcej.

Czy przyszłość tak bardzo różni się od teraźniejszości? Czy nowy wspaniały świat zapewni nam szczęście? Czy tęsknota jest grzechem? A wreszcie – czym jest Szablون i jaką rolę odegra Adrian?







## SILA JEJ PIĘKNA ANTOLOGIA

Autorki:

*Agnieszka Opolska*  
*Agnieszka Sudomir*  
*Agnieszka Zakrzewska*  
*Alicja Wlazło*  
*Anna Karnicka*  
*Daria Skiba*  
*Małgorzata Falkowska*  
*Maria Zdybska*

### WYJĄTKOWE HISTORIE DLA WSZYSTKICH WYJĄTKOWYCH KOBIET

Osiem utalentowanych polskich autorek i jedno niełatwe zadanie — odnalezienie siły i piękna, które tkwią w każdej z nas. Opowiadania wchodzące w skład antologii są tak różnorodne jak kobiety, które je napisały. Autorki opowiadają o zwycięstwie w zmaganiach z przeciwnościami losu i osobistymi dramatami.

Czy twoja historia jest podobna? Czy teraz uwierzysz w siebie? Czy dotrzesz do ukrytej w tobie siły? Każda z nas jest inna, piękna na swój wyjątkowy sposób!

OD KOBIET DLA KOBIET  
ODNAJDŹMY W SOBIE SIŁĘ I PIĘKNO!





## MARVIN IZA KORSAJ

Ile utraciłeś ze swojego człowieczeństwa? Jak wiele zniesiesz, aby ponownie móc nazwać siebie człowiekiem?

Te pytania zadaję moim pacjentom podczas napraw ich zdegenerowanych osobowości. Zawsze daję im wybór i czas na odpowiedź. Bez nienawiści, ale i bez litości dla słabych.

Jedni udzielają poprawnej odpowiedzi i przyjmują mój dar. Inni, cóż... znikają. Pierwsi uczynili swoje życie pełniejszym i bardziej wartościowym, drudzy uratowali życie komuś godnemu miana człowieka.

Nazywam się Marvin T. Cross i jestem bostońskim chirurgiem. Uważam się za największego humanistę naszych czasów, gdyż nie mam boga przed człowiekiem. W moich oczach, marnując dany ci przez naturę potencjał, bluźnisz. Nie lękaj się jednak, wyciągnę do ciebie pomocną dłoń...

Intrygująca, mocna i warta uwagi. Polecam.  
Marta Daft z [martawstrosksiazek.pl](http://martawstrosksiazek.pl)

„Marvin” to książka, obok której nie możesz przejść obojętnie. Gorąco  
polecam!

Ewelina Nawara z [myfairbookworld.pl](http://myfairbookworld.pl)





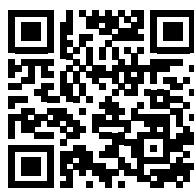
## Joy HERMIA STONE

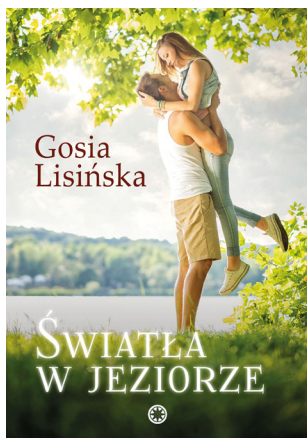
Joy jest przeciętną dziewczyną. Ma zwyczajną pracę, kilku w miarę normalnych znajomych i nie wyróżnia się niczym poza tym, że mieszka z mężczyzną idealnym, który zawsze spełnia jej marzenia. Prawdopodobnie dlatego, że jest wymyślony... No, może nie do końca. Oryginał istnieje. To wokalista znanego zespołu Sundance, otoczony tłumem fanek, zarabiający miliony i odnoszący sukcesy playboy.

W życiu jednak różnie bywa. Być może ta dwójka zetknie się w świecie jak najbardziej rzeczywistym.

Joy, będąc w trudnej sytuacji życiowej, zatrudnia się u managera Sundance. Prawdziwe kłopoty zaczną się, gdy spotyka swojego idealnego faceta i pozna go bliżej. Dowie się wiele nie tylko o swoich uczuciach ale też o prawach rządzących rynkiem muzycznym i o panujących w nim stosunkach międzyludzkich. Wkrótce Joy, jej znajomi i wszyscy członkowie zespołu Sundance przekonają się, co się stanie, gdy spełnią się czyjeś marzenia.

To nie jest prosta romantyczna opowieść o namiętnej miłości nieśmiałej dziewczyny i gwiazdy rocka. To nie jest kolejna odsłona bajki o kopciuszku. Ta opowieść może zaskoczyć.





## ŚWIATŁA W JEZIORZE GOSIA LISIŃSKA

Gdy po dwóch latach kompletnej uczuciowej suszy, dopadnie cię kłęska urodzaju, możesz mieć problem z wyborem.

Karolina jest zabawną i błyskotliwą dziewczyną, od roku zakochaną bez wzajemności w koledze z pracy. I oto któregoś dnia spotyka go nad jeziorem, a wszystko się zmienia. Że jednak świat bywa złośliwy, na drodze Karoliny staje nie tylko Kuba, ale i pewien nieprawdopodobnie seksowny Włoch...

wien nieprawdopodobnie seksowny Włoch...

Przezabawne perypetie miłosne i rodzinne głównej bohaterki są tematem pierwszej obyczajowej powieści Gosi Lisińskiej z serii Miłość w Tychach.





ZŁE

MICHAŁ J. CHMIELEWSKI

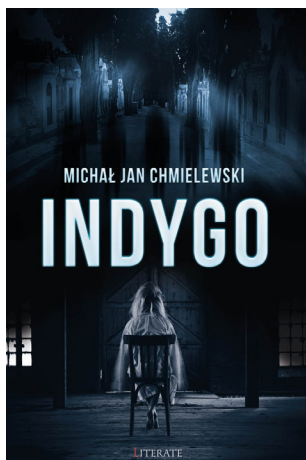
*Wystarczy, by dobrzy ludzie nic nie robili, a zło zatriumfuje* – Edmund Burke

Baskin Zachodnie, miasteczko na polskim wybrzeżu, wydaje się zbyt małe, aby pomieści całe zło, jakie się w nim dzieje. Zło czynione przez człowieka człowiekowi, gdyż w tym akurat przypadku niepotrzebna jest pomoc diabłów, demonów czy jakichkolwiek innych istot.

Jeden dzień z życia rodziny Jasińskich. Dwadzieścia cztery godziny koszmaru, jaki rozgrywa się w setkach miast, miasteczek i wsi. Andrzej – ojciec, alkoholik i oprawca swojej rodziny. Iwona – matka, ofiara przemocy domowej. Justyna, Kryspin i Michał – maltretowane i okaleczone psychicznie dzieci, dla których normalność to marzenie. Tomasz, Marcin i Krzysztof – mimowolni uczestnicy dramatu.

Polskie Fargo, bracia Coenowie nie powstydziliby się tej opowieści.





## INDYGO

MICHAŁ JAN CHMIELEWSKI

*Wystarczy, by dobrzy ludzie nic nie robili, a zło zatriumfuje* – Edmund Burke

Dwoje nastoletnich przyjaciół.

Ona i on, połączeni przez wspólne tajemnice i tragedie. Muszą stawić czoła śmiertelnemu niebezpieczeństwu poszukując odpowiedzi na pytanie, dlaczego w Baskin giną dzieci.

Nieprzygotowani wkraczają w świat dorosłych. Walczą z demonami przeszłości, których głos jest silny i przerażający. Odnajdują prawdę, przyjaźni i miłość. Płacą za to cenę, być może zbyt wysoką.

*Michał Chmielewski zabiera nas ponownie do Baskin Zachodniego. „Indygo” to zupełnie inna opowieść niż „Złe”, ale równie prawdziwa, mocna i warta przeczytania!*

